

**Imię i nazwisko**

**Klasa**

**XIII Szkolny Konkurs Ortograficzny „Gimnazjalny As Ortografii”  
Wielkie Reymontowskie Dyktando**

**2015/2016**

**Etap I**

**Ziemia obiecana**

Łódź się budziła.

Pierwszy wrzaskliwy świst fabryczny rozdarł ciszę wczesnego poranka, a za nim we wszystkich stronach miasta zaczęły się zrywać coraz zgiełkliwiej inne i darły się chrapliwymi, niesfornymi głosami niby chór potwornych kogutów, piejących metalowymi gardzielami hasło do pracy.

Olbrzymie łódzkie fabryki, których długie, czarne cielska i wysmukłe szyje-kominy majaczyły w nocy, we mgle i w deszczu – budziły się z wolna, buchały płomieniami ognisk, oddychały kłębami dymów, zaczynały żyć i poruszać się w ciemnościach, jakie jeszcze zalegały ziemię.

Deszcz drobny, marcowy deszcz pomieszany ze śniegiem, padał wciąż i rozwłóczył nad Łodzią ciężki, lepki tuman. Bębnił w blaszane dachy i spływał z nich prosto na trotuary, na ulice czarne i pełne grząskiego błota.

Nieopodal znajdowało się miasteczko zamieszkałe przeważnie przez Żydów, którzy zajmowali się głównie tkactwem, bo w każdym prawie domu stał warsztat tkacki, a po sieniach czarnych i zabłoconych siedziały stare Żydówki i zwijały na kołowrotkach przędzę.

Suchy i monotony turkot warsztatów bił od każdego okna i drżał w cichym, przesłonecznionym powietrzu. Na środku głównej ulicy czerniały kałuże błota, po których gromadami zerowały kaczki.

**Imię i nazwisko**

**Klasa**

**XIII Szkolny Konkurs Ortograficzny „Gimnazjalny As Ortografii”  
Wielkie Reymontowskie Dyktando**

**2015/2016**

**Etap II**

**Zapach fabryk**

Budynki, które Borowiecki kupił i przerabiał dla swojej fabryki stały z boku ulicy Konstantynowskiej, na jednej z małych uliczek. Była to dzielnica małych fabryczek i samodzielnych warsztatów, teraz już obumarła – zabita przez wielki przemysł.

Uliczki były krzywe, obstawione parterowymi domami o wielkich facjatach, nędzne i brudne. Domy powykrzywiały się ze starości i powoli zapadały się w grząską ziemię, jakby przygniatane wielkością gmachów i olbrzymimi kominami fabryk, które gęstym, kamiennym lasem chwiały się dookoła.

Monotonny, suchy stukot warsztatów tkackich, trzęsących się szarymi szkieletami za przepalonymi szybami okien, przepelniał powietrze i łączył się z potężnym szumem fabryki.

Moryc przeszedł szybko umierającą dzielnicę, bo go przejmowała wstrętem nędza rozpadających się domów. Lubił gwar potężnych maszyn, huk potwornych organizmów fabrycznych przenikał go słodkim uczuciem siły i zdrowia, a sam widok wielkich fabryk usposabiał wesoło.

Łódź żyła teraz szalonym życiem, tętniła gorączką rozrostu, budowała się z pośpiechem, zdumiewała nieustającą potęgą. Tam, gdzie przed kilku laty jeszcze rosły zboża i pasły się krowy, zaczynały wyrastać całe ulice nowych domów, fabryk, interesów, nowych szachrajstw i wyzysków.

Miasto było podobne do potężnego wiru, w którym kotłowali się ludzie, fabryki, materiały i namiętności, miliony i nędza, rozpusta i głód wieczny. Wszystko pchało się z siłą rozpętanego żywiołu naprzód, po trupach fabryk i ludzi – byle zdążyć prędzej do milionów, których źródła zdawały się wytryskać z każdego cala tej „ziemi obiecanej”.